

BARTŁOMIEJ BIESIEKIRSKI

SISKELE



Bartłomiej Biesiekirski

SISKELE

b

Wrocław 2015

Tego autora:
JASNOWIDZ (Prószyński i S-ka, 2013)

Copyright © Bartłomiej Biesiekirski, 2015

Projekt okładki
Izabella Retkowska

Zdjęcie na okładce
© Izabella Retkowska

ISBN 978-83-941132-3-0

b
Wrocław 2015

1946

Wiatr miał siłę burzy. Przez całą noc rozpędzał się nad otwartym morzem, aż wreszcie uderzył w głęb fiordu. Przygnał z północy śniegowe chmury, w krótkim czasie zmieniając lato w zimę. Za dnia rozkołysał powierzchnię morza, która, jakby na przekór niskiej temperaturze, wydawała się wrzeć. Wicher z hukiem toczył ołowianoszare fale. Podrywał z nich pianę i ciskał w rybacki kuter – jedyny nieruchomy obiekt na tle zderzających się mas wody.

Nie wiadomo, jak długo morski prąd niósł bezwładny statek. Być może dopiero po wielu godzinach obrócił nim jak zabawką i wreszcie rzucił na skały. Uderzenie musiało być potężne. Wykonany z mocnego dębu kadłub trzasnął niczym skorupa jajka. Powstała dziura i w słabym świetle zachodzącego słońca kadłub bardziej wydawał się znikać, niż tonąć. Wszystko za sprawą czarnej farby, którą pomalowano wszystko: burty, nadbudówki i wystające elementy wyposażenia. Wyglądał jak statek-widmo, opuszczony nawet przez duchy marynarzy. Nigdzie, ani na pokładzie, ani w wodzie dokoła nie było widać załogi. Nikogo.

Żywego lub martwego.

Kolejna fala z łomotem przewaliła się przez relingi, przesu-
wając wrak na skale. Zgniatane drewno wydawało z siebie przy-

prawiający o dreszcz dźwięk. Woda bryznęła aż na dach sterówki, zabierając kilka wypadających przez drzwi puszek. Spływając obmyła leżące na pokładzie fragmenty zielonego płótna. Coś drgnęło. Spod płachty wysunęła się dłoń, a za nią druga. Ręce dygotały, na ślepo macając dokoła, ale dopiero gdy następne uderzenie zakołysało statkiem, człowiek podniósł głowę. Twarz miał zalaną krwią. Padając musiał trafić na coś twardego i wtedy stracił świadomość. Przesunął dłonią po czole, z niedowierzaniem obejrzał zakrwawione palce.

Minęła kolejna cenna minuta, zanim marynarz się otrząsnął, przetoczył na bok i usiadł. Pokład znowu zadygotał pod naporem morza. Zaczynał zmieniać nachylenie. Z jękiem pękało dębowe poszycie. Mężczyzna ostrożnie wstał i spojrzał dokoła. Zaklął drżącym głosem. Na skutek kontuzji nie pamiętał niczego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin. Widział jednak, że miał wiele szczęścia. Rufa już tonęła, dziób sterczał pod coraz ostrzejszym kątem. Tylko dzięki przypadkowi statek zawisł na tej samej skale, która go rozerwała. Gdyby kadłub prześliznął się nad nią, wtedy byłiby już na dnie morza. Gdyby w czasie uderzenia marynarz robił coś przy burcie, wylądowałby w wodzie i utonął. Gdyby stał za sterem, albo zszedł do ładowni, mógłby nie przeżyć wstrząsu.

Jako doświadczony szyper nie musiał zaglądać pod pokład, żeby wiedzieć, w jakim stanie jest poszycie i oba silniki. Po każdym silniejszym przyboju przez klapę do ładowni tryskała brudna piana. Z wylotów wentylacji maszynowni buchał dym zmieszany z parą. Tam się już dokonało. Do uratowania pozostał jedynie on sam. Musiał działać.

Na wół pełznąć, częściowo się ześlizgując, mężczyzna do-

tarł do uwiązanych przy burcie baryłek. Były pełne alkoholu i zabrakło na nie miejsca pod pokładem. Stał na wieku jednej z nich. Wyjętym z kieszeni spodni rozkładanym nożem wydłubał szpunty. W nos uderzył go aromat czystego spirytusu. Piłując ostrzem tuż obok węzłów, szybkimi ruchami przeciął mocujące liny. Pokład kutra przybrał już niemal pionową pozycję; beczki niepewnie leżały na drewnianej burcie. Przez ich otwory płynął strumień cennego płynu, za który w każdym porcie można by dostać niezłą sumkę. Opary szczypały w oczy, więc mężczyzna zawzięcie nimi mrugał. Nałapał trochę alkoholu w garść i wypił. Odkasznął, z satysfakcją zamruczał pod nosem i wrócił do pracy. Czas uciekał.

Teraz musiał na nowo powiązać liny. Nie było to łatwe, bo palce miał zgrabiałe z zimna. Baryłki były już prawie zupełnie puste, umieścił więc szpunty na swoim miejscu i mocno wbił końcem noża. Połączył beczki tak trwale, jak tylko potrafił. Owinął się w pasie ostatnim kawałkiem sznura i przeciągnął go przez całą konstrukcję. Stęknął i wszystko przerzucił wprost w rozkołysane morze. Wysięk spowodował silniejsze krwawienie z rany na czole. Mężczyzna odetchnął i skoczył za beczkami. Woda przywitała go lodowatym chłodem. Próbując zignorować bezwolny dygot, wiosłował wolnym ramieniem i nogami, trzymając się improwizowanej tratwy. Byle jak najszybciej uciec od tonącej łodzi.

Zimno szybko wysysało siły, wciągnął się więc górną częścią ciała na mały pokład i obejrzał za siebie. Skokami, do końca walcząc, kuter zniknął pod wodą. Człowiek uciekł dosłownie w ostatniej chwili. Wkrótce jedynym świadectwem, że coś się stało, będzie jego tratwa i mnóstwo śmieci, rzucanych przez fale. Puszki

po konserwach. Garść szmat i kawałki drewna. Dorobek życia utracony w kilka minut. Kuter, w remont którego włożył mnóstwo pracy i całe swoje oszczędności, na jego oczach zniknął w morzu.

Niewielkim pocieszeniem było to, że najwyraźniej nie miał szansy zauważyć skały, na której rozdarł łódź. Nad wodę nie wystawało nic, co mogłoby zaalarmować marynarza. Aż dziwne, że nie doszło do innych katastrof. A może doszło i na dnie leżały wraki? Teraz wiedział, że ten akwen powinien być omijać z daleka. Jako przemytnik powinien się lepiej pilnować. Niestety, było o wiele za późno, żeby skorygować niedokładną mapę.

Mężczyzna odwrócił się tyłem do pustki, jaką po sobie zostawił jego statek. Wyciągnął się płasko na chwiejnej tratwie i utrzymując względną równowagę zaczął wiosłować rękami. Miał nadzieję, że wyznaczył właściwy kierunek. Sprawdził położenie zachodzącego słońca. Wiatr mu sprzyjał, fale pchały w dobrą stronę. On był w niezłej kondycji, nawet biorąc pod uwagę kontuzję, która go pozbawiła przytomności. Woda miała jeszcze ponad dziesięć stopni; słoneczne miesiące zdołały nagrzać jej górne warstwy. I całe szczęście, że trochę osłabł lodowaty wiatr – jakby nareszcie wyładował swój cały gniew. Nie był to może szczyt marzeń, ale trzeba się cieszyć z każdego, najdrobniejszego nawet uśmiechu losu.

Poprawił ułożenie ciała, sięgnął do tyłu i ostrożnie zdjął buty. Związał razem sznurówki i przełożył je sobie przez kark. Jeżeli dotrze do łądu, jeszcze się przydadzą. Jeśli zaś nie będzie miał szczęścia i utonie, niech buty utoną razem z nim. Przez jedną głupią skałę na dnie spoczął cały ładunek, jaki miał na kutrze. I sam statek też, oczywiście. Niech więc razem z nim utonie wszystko.

Nawet jego buty.

Pozostał tylko jeden problem, jeżeli tak można powiedzieć w jego obecnej sytuacji. Wprawdzie niedaleko, gdzieś za mgłą, znajdzie wybrzeże, ale jałowe i puste. Na Dalekiej Północy nie mógł liczyć na zielone łąki i przyjaznych pasterzy. Najbliższym miejscem, do którego właśnie zmierzał, była mała, rybacka osada. Nigdy tam nie był, ale spotkał kilka osób, które kiedyś zawijały do niewielkiej, kamiennej przystani. Wszyscy zgodnie twierdzili, że lepiej tam nie wracać. Jeśli ma się wybór.

Mężczyzna splunął do wody i przyspieszył wiosłowanie. Dostrzegł błękitną kreskę niezbyt odległego brzegu. Najwyraźniej jeszcze nie była mu pisana śmierć na morzu.

1. Tomas

Tomas stał na dziobie frachtowca, nie zważając na silny wiatr i płatki śniegu, wpadające do oczu. Chociaż bardzo by chciał, nie mógł podejść na sam koniec pokładu, a w zasadzie jego wzniesiony początek, bo drogę zagradzał łańcuch z tabliczką ostrzegającą przed wypadkiem. Wprawdzie nie widział tam nic, co mogłoby do tego wypadku doprowadzić, ale właśnie dziób był pod stałym nadzorem mostku kapitańskiego. Tomas został już raz upomniany przez oficera wachtowego. Zmrużył więc tylko powieki, objął stalowy reling i próbował przebić wzrokiem wirujący nad wodą tuman. Nie przypuszczał, że w marcu może być tak zimno. Jeszcze dwa dni temu, w ostatnim dużym porcie jaki odwiedzili, spacerował w samym swetrze. Teraz, pomimo granatowej, wełnianej kurtki i czapki na uszach, dygotał w podmuchach bryzy.

W takt pracujących silników i fal niespokojnego morza, statek wpływał do kolejnej odnogi długiego, poskręcane go fiordu. Na mostku kapitańskim, wzniesionym wysoko nad pokładem, przy każdym oknie stał jeden z marynarzy z mocną lornetką w dłoniach. Kapitan bardziej polegał na oczach i doświadczeniu swoich ludzi, niż na zawodnych urządzeniach. Tomas odwrócił

się przez ramię i spojrział w górę, na pochylony front nadbudówki. Może to tylko jego wyobraźnia, ale wydawało mu się, że panuje tam nerwowe napięcie. Twarze kapitana i jego oficerów były ściągnięte i nieruchome.

Kapitan oderwał oczy od niewidocznego horyzontu i zauważył Tomasa. Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem kapitan uniósł dłoń i pomachał. Gest wypadł jakoś mało energicznie. Nie czekając na odpowiedź, kapitan opuścił sterówkę i zniknął w korytarzu.

Chłopiec wrócił do obserwacji morza. Fiord musiał wciąż zmieniać szerokość, bo od czasu do czasu we mgle sunęły widmowo blade, pionowe ściany skał. Szczeliny wypełniał śnieg i błękitne języki lodu. Potem powierzchnia morza stała się gęsta, jakby nagle pokrył ją olej. Minęło trochę czasu, zanim Tomas zrozumiał, że to gęsta, lodowa kra. Początkowo była drobna jak kasha, potem jednak o dziób zaczęły uderzać większe kawałki. Prom wyraźnie zwolnił, silniki zaczęły wydawać z siebie ponury, głęboki dźwięk, jakby statek oburzył się na zbyt małą prędkość. Tomas zwrócił uwagę na wyraźny szum, z jakim kadłub rozcinał lodowatą breję. Na Południu, gdzie się urodził i wychował, morze zamarzało jedynie w czasie ostrych, styczniowych mrozów. I raczej przy brzegu, albo w płytkich zatokach.

Na poręczy barierki, oddzielającej pokład od jego dziobowej części, niespodziewanie pojawiły się dwie blade dłonie. Tomas drgnął przestraszony, bo nie słyszał, kiedy Edel, jego matka, szła po pokładzie. Przecież się nie skradała. Czemu miałaby to robić? Bez słowa patrzył na jej smukłe palce i delikatne, krótkie jak u chłopaka paznokcie.

– Już niedaleko – powiedziała cichym głosem, a z jej ust nie uleciała najmniejszy obłoczek pary. – Spakuj swoje rzeczy.

Tomas wytyczył wzrok, ale nie zobaczył niczego, co mogłoby być jakimś znakiem rozpoznawczym.

– Jesteś pewna? – zapytał z powątpiewaniem.

– Jestem – padła krótka odpowiedź.

Chłopiec zerkał na nią z ukosa. Nigdy nie byli do siebie podobni; Tomas wyraźnie wdał się w swojego ojca. Podczas gdy on miał gęste, czarne włosy i brwi, skórę opaloną, matka stanowiła jego zupełne przeciwieństwo. Jasne, cienkie włosy nosiła proste, opadające niczym woda dokoła bladej twarzy, na którą nawet w czasie największego mrozu nie wypływał cień rumieńca. Tomas przysiągłby jednak, że jej oczy kiedyś były zielone. Może z powodu mgły, w każdym razie teraz migotały niebiesko. Patrzyła na horyzont, jakby śnieg i wiatr jej nie przeszkadzały.

– Niczego nie widać – słabo zaprotestował.

– Ja widzę. – Uniosła ręce i zebrała leżące na ramionach włosy. Ściągnęła je z tyłu głowy i ciasno związała kawałkiem wełny w kok. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej tak robiła. Nagle odniósł niepokojące wrażenie, że przestaje być osobą, którą znał. Bez wyraźnego powodu jego serce załomotało. Tak samo jak tego dnia, kiedy do ich domu przybiegł Christian, kolega ojca ze stoczni.

– Idź.

Nie mogąc odegnąć uczucia niepokoju, nadal zwlekając, oderwał ręce od relingu i w tym samym momencie rozległ się wachtowy dzwonek. Jego rytm pochwyliły inne, a mgła połknęła ich dźwięki. Matka miała rację.

Spędzili osiem długich dni na statku o niezbyt oryginalnej nazwie „Książę Karol”. Miał szeroki kadłub, przepastne ładownie i klockowate nadbudówki. Wsiedli na niego z samego rana i prawie na pewno wtedy była środa. Wiosenne słońce prażyło już tak mocno, że Tomasz się spocił, targając na ramieniu torbę pełną ubrań. Teraz rozumiał, dlaczego matka nalegała na ciepłą kurtkę i swetry. Już niemal całe zapasy ubrań miał na sobie. Prawdę mówiąc chciałby jeszcze jakieś lepsze buty, bo marzył w stopy. Nie wspominając już o czerwonych i popękanych dłoniach.

Tomasz zbiegł po wąskich, metalowych schodkach pod pokład. Słabo oświetlony korytarz wypełniał nigdy nie słabnący odór smarów i rozgrzanego silnika. Statek przede wszystkim służył do transportu towarów i niewiele zbudowano na nim kabin pasażerskich. Ta, którą dzielił z matką, pomieściła jedynie piętrowe, przyśrubowane do ściany łóżko. Nie było mowy o takich luksusach jak okno z widokiem na zewnątrz. Wspólna toaleta na końcu korytarza. Przez pierwszą noc cierpiał na straszną klaustrofobię; myślał, że ściany zamkną się na jego ciele i zmiażdżą. Bez żalu złożył na stos cały bagaż, jakim dysponowali i wyciągnął na zewnątrz.

Początkowo podróżnych, razem z nim i matką, było kilkunastu. Większości z nich nawet nie zobaczył, bo chronili się przed niepogodą w swoich kajutach. Na posiłki schodziło do jadalni tylko parę osób. Pamiętał wychudłe, biednie ubrane sylwetki, pochylone nad miskami przesolonej zupy serwowanej przez kucharza. Bieda, w którą wpędziła kraj wojna, tu, na Północy, musiała być o wiele bardziej dotkliwa. Widać ją było w każdej mijanej osadzie, a jeszcze bardziej w łąkach pokrywających zniszczone ubra-

nia.

Kiedy chłopiec wyszedł z torbą przewieszoną przez ramię i tekturową walizką matki, zorientował się, że oprócz nich nie było już nikogo. Zostali sami, tylko we dwoje. Reszta wysiadła w odwiedzanych po drodze osadach rybackich, razem z pocztą i skrzyniami pełnymi mleka w proszku, zboża i cukru.

Tomas rzucił swoją torbę obok trapu. Postawił walizkę i wyjrzał przez burtę. Statek poruszał się jeszcze, ale właśnie brzęknął dzwonek i na rufie załomotał łańcuch kotwicy. Chwilę później to samo się stało na dziobie. Chłopiec próbował dostrzec przystań. Chociaż śnieżycą jakby trochę osłabła, widział tylko pełne przypominającej cukrowy lukier kry morze. W ciszy padał śnieg. Po schodach zbiegło kilku marynarzy.

– Dobijamy? – Tomas zapytał brodatego, chociaż niemal łysego mężczyznę. Ten spojrzał na niego, ale nie odpowiedział. Dołączył do pozostałych, zajętych odbezpieczaniem średniego z dwóch bocznych dźwigów.

Marynarze odkręcili stalową linkę z bębna i zaczepili o uchwyty szalupy. Przez moment chłopiec myślał, że ulegli wypadkowi, że lód uszkodził kadłub. Dopiero po chwili zrozumiał. Ta łódź była przeznaczona dla nich.

Dłonie matki pojawiły się na poręczy tak samo cicho, jak przed chwilą na dziobie. Białe i gładkie. Pod cienką skórą pulsowały niebieskie żyłki. Nie cierpiała z powodu zimna, tak jak on. Oczywiście. Przecież wychowała się w tej zatoce.

– Mamo, to na pewno tutaj? – zapytał niepewnie. – Tam naprawdę jest ląd?

– Nie bądź głupi.

Zgrzytnęły naciągane łańcuchy i statek zatrzymał się wreszcie z łagodnym szarpnięciem. Na ten moment czekali marynarze. Korby zakreśliły grubo nasmarowanymi zębatkami i łódź została wysunięta nad wodę. Dwóch mężczyzn bosakami trzymało ją na dystans od burty, trzeci linką przywiązaną do jej dziobu kontrolował odległość, czwarty operował dźwigiem. Szło im sprawnie. Szalupa chlupnęła o zmrożoną powierzchnię wody, poskoczyła i znieruchomiała.

– Żadnych mew – mruknął pod nosem Tomas. – Dziwne.

Rzeczywiście, zazwyczaj te ciekawskie ptaki towarzyszyły każdemu statkowi. Jeżeli ich nie było widać, mogło to znaczyć, że tam, za wirującym tumanem, wcale nie ma łądu. Że matka jednak zwariowała i chce zabić jego i siebie.

Otrząsnął się zaraz i zbeształ w myślach. Czy cała załoga statku „Księżę Karol” brała udział w spisku? Przecież to bez sensu. Widać przecież, że wiedzą, co robią. Poruszali się szybko i pewnie. Opuścili trap, jeden z nich zbiegł po schodkach i przyciągnął łódź. Zamocował do małego pomostu, wiszącego tuż nad falami. Teraz wszyscy bez słowa patrzyli na Tomasa i jego matkę. Czekali.

– Idziemy. – Edel złapała uchwyt walizki i pociągnęła ją w dół.

Schodziła po schodach, a Tomas wciąż zaciskał palce na poręczy i nie potrafił ich oderwać. Przełknął ślinę. Nie tylko z powodu złych przeczuć. To już była panika.

– Mamo?

Ale ona już wchodziła do łodzi. Usiadła na środkowej ławce, postawiła walizkę pod stopami i znieruchomiała, całkiem o nim

zapominając. Z góry łódź wyglądała na dziecinną zabawkę. Tomasz czuł się tak, jakby zamarzał. Miał wrażenie, że podeszwy butów przyrosły do pokładu.

– Chodź, synu. – Marynarz, ten sam, prawie łysy chudzielec, położył mu dłoń na ramieniu. – Pomogę ci.

Złapał torbę, ujął chłopca pod pachę i pociągnął.

– Nie, ja potrafię... – szepnął Tomasz. Dał się prowadzić po schodach, a mężczyzna zagadywał.

– Ile masz lat? Siedemnaście, osiemnaście?

– Siedemnaście. Prawie. Za pół roku.

– No proszę, wyglądasz na starszego. Jak mój syn. Czekam na mnie, ze swoją matką, aż wrócę. Za każdym razem, kiedy go widzę, wydaje się większy. A gdzie twój ojciec, chłopcze?

– Nie żyje – powiedział spokojnie Tomasz. – Zginął trzy tygodnie temu. Spadł z rusztowania w stoczni.

Marynarz chrząknął przeciągle i już się nie odezwał. Weszli do szalupy, a za nimi ktoś jeszcze. Tomasz usiadł na dziobie, plecami do wszystkich i próbował wypatrzeć w oddali brzeg. Nie odwrócił się nawet wtedy, kiedy z kłopotami uruchomiono silnik szalupy i odbili. Z tej perspektywy burta statku piętrzyła się nad nimi jak góra. Szara, pordzewiała, pełna zacieków, lodowa góra.

Tylko jeden raz Tomasz obrócił głowę w tył i wydawało mu się, że widzi stojącego za szybą sterówki kapitana. Rozpoznał go po białej czapce. Nie miał też pewności, czy kapitan naprawdę uniósł dłoń i trzymał ją nieruchomo, dopóki ich nie rozdzielił śnieg.

Płynęli gładko po powierzchni oleistego morza. Dziwne, szare światło nie rzucało cienia. Sternik ostrożnie manewrował

wśród brył lodu, bojąc się uszkodzić ster bądź śrubę napędową. Drugi z nich uruchamiał co jakiś czas syrenę, od dźwięku której Tomas dostał gęsiej skórki na ramionach. Wzdrygnął się. Matka wyglądała na spokojną, chociaż on miał wrażenie, że jest inaczej. Dostrzegał napięcie w jej ramionach, ściągniętą skórę wokół ust. Pamiętał niewyraźnie, jak się uśmiechała. Trudno powiedzieć, kiedy to było. Na pewno jeszcze długo przed tym, jak ojciec po raz ostatni wyszedł do pracy.

Nagle po wodzie popłynął basowy dźwięk syreny, znacznie mocniejszej, niż ta na ich szalupie. Chwilę potem jeszcze raz. Jakby w odpowiedzi odezwała się syrena promu, który został za nimi. Prom miał syrenę jeszcze silniejszą, ryczącą głębokim basem. Przez tę dziwną rozmowę, jaką prowadziły ze sobą ukryte w zawierusze jednostki, Tomas nagle pomyślał, że już nie statki, ale morskie potwory wygrażają sobie nawzajem. Siedział na dziobie, jak najbardziej lubił, więc nikt nie mógł zobaczyć irracjonalnego, panicznego strachu, który go ogarnął.

Usłyszeli dudniący silnik rybackiego kutra. Wychynął z bieli i przepłynął od szalupy nie dalej, niż o dziesięć kroków. Spory, o mocnym kadłubie, bo tylko taki oprze się sztormowi na Dalekiej Północy. Miał cały pokład zajęty skrzynkami. Stały jedna na drugiej tak wysoko, że sięgały ponad kabinę sternika. Za nim płynął kolejny, a potem cały szereg. Wszystkie wyładowane towarami i zmierzały w stronę promu. Tomas zrozumiał, że odbędzie się wymiana. Zapewne suszone i solone ryby trafią na prom, a mieszkańcy wioski odbiorą towary, które zamówili. Nie miał pojęcia, co to by mogło być. Wyobraził sobie, że ubrania, książki i gazety, przedmioty zbytku i handlu. Mylił się, ale skąd mógł wiedzieć,

czego potrzeba do przeżycia na takim odludziu.

Nawet nie zauważył, kiedy uwierzył w istnienie wioski, do której zmierzali od ponad tygodnia. Gdzieś w tej mgle naprawdę rozłożyła się rodzinna osada jego matki, Siskele.

2. Powrót do Siskele

Najpierw poczuł zapach. A dokładnie smród ryb. Suszonych, wędzonych, gotowanych, ryb świeżych i zepsutych. Woń tranu i rybich wnętrzności. Znał, oczywiście, aromaty wody i świeżych połowów, ale nie zdarzyło się nigdy, by odwiedzał wioskę żyjącą tylko i wyłącznie dzięki morzu. Jego żołądek zacisnął się niczym pięść.

Tymczasem pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były kamienne ramiona nabrzeża. Niezbyt imponujące, ale z rozkołysanej szalupy miało się wrażenie wpływania do szeroko otwartej paszczy. Tomas już rozumiał, dlaczego prom nie mógł podejść bliżej. Nie miał szansy, żeby zmieścić się na tak małym akwenie. Teraz pustym, bo wszystkie kutry popłynęły z rybami w ładowniach. Zostały szlaki przetarte w pokrywającym port cienkim lodzie. Woda jeszcze syczała.

Marynarze za plecami Tomasa coś do siebie zagadali. Mimo że nie zrozumiał słów, wyczuł ich niepokój. Obejrzał się. Matka stała wyprostowana, chociaż łódź wciąż podskakiwała na falach. Z napięciem wypatrywała czegoś przez wirujący śnieg. Może widziała coś, czego zobaczyć nie mogli Tomas ani marynarze. Przyłożyła do ust złożone na kształt muszli dłonie i krzyknęła wyso-

kim, przenikliwym głosem. Trzykrotnie, aż w uszach dzwoniło. Nie rozumieli tego języka. Jakby oznajmiała swoje przybycie. W każdym razie odpowiedzi nie było.

Potem po prostu usiadła.

W kompletnej ciszy, jeśli nie liczyć pracującego na jałowych obrotach silnika, wpłynęli już do portu. Woda rozbijała się o osłonięte kamieniami brzegi. Kawałki lodu wydawały przy tym śpiewny odgłos, niczym kryształowy żyrandol. Powoli ze śnieżnej zawieruchy wyłaniały się pierwsze budynki. Na czarnej, kamienistej plaży stały dwa hangary z wędzonych desek. Ich szerokie wrota ziały otwarte i pokazywały puste wnętrza. Zapewne całą ich zawartość właśnie teraz przenoszono do ładowni promu. Za hangarami Tomas dostrzegł domy. Serce mu zamarło, kiedy sobie uświadomił, że w jednym z nich będą teraz mieszkali. Malutkie chaty z kamienia i drewna, przykryte koślawymi dachami. Wyglądały jak domki dla lalek. Nie miały ogródków, nigdzie nie stawiano płotów. Jedyne mury z luźnych kamieni, mające osłonić przed wiatrem i śniegiem. Pod drzwiami prowadziły wąskie, błotniste ścieżki. Nad kominami wiatr rozszarpywał słabe nitki dymu. Wokół obejść Tomas nie dostrzegł ani ludzi, ani zwierząt. Za to na desce przytwierdzonej do drewnianego słupa ktoś namalował smolą cyfrę. Czterdzieści trzy. Domyślił się, że jest to liczba mieszkańców. Więcej, niż można by sądzić, bo na razie nikogo nie zobaczył.

Pod ścianami hangarów, w bezpiecznej odległości od morza, zbudowano coś w rodzaju trójkątnych stojaków, na których oparto rzadkie drabinki z gałęzi. Suszyły się na nich wypatroszone ryby. Inne służyły za uchwyty na linki, pełne różnej wielkości haczyków. Wiatr nimi kołysał, a one wirowały w kompletnej ciszy.

Szalupa skręciła w kierunku wąskiej plaży. Silnik zwolnił obroty, jeden z marynarzy przeszedł obok Tomasa. Trącając go w ramię stanął na burcie i skoczył w idealnie wyliczonym momencie. Pewnie wylądował w płytkiej wodzie. Jednym ruchem tak ustawił szalupę, że jedynie lekko zgrzytnęła dnem o kamienie. Chwilę potem było jasne, że pasażerowie nie mogli wyjść na ląd, nie mocząc przy tym nóg.

Marynarz, ten wysoki i niemal łysy, skinął na Tomasa. Chwycił jego torbę, przeniósł na plażę i odstawił w bezpiecznej odległości od wody. Chłopiec wstał i niezdarnie skoczył. Nie było zbyt głęboko, najwyżej dwadzieścia centymetrów, ale całe ciało przebiegł dreszcz. Jak mógł najszybciej poczłapał, chlapiąc na boki. Czuł się głupio i niezgrabnie, chociaż nikt nie zwracał na niego uwagi. Zrzucił buty, wycisnął wodę ze skarpet i nogawek spodni. Czuł coś takiego, jakby szokujące zimno przenikało w górę, aż do serca i mózgu. Później się okazało, że była to proroctwa myśl.

Marynarz z wahaniem podał rękę kobiecie. Edel go zignorowała. Sama złapała swoją walizkę i po chwili brnęła przez wodę. Minęła syna i nie zwracając już na nikogo uwagi ruszyła w stronę cichych domów. Mężczyźni patrzyli za nią, a Tomas dostrzegł w ich twarzach niechęć. Ten wysoki rozciągnął usta w słabym uśmiechu.

– Powodzenia, mały – powiedział. – Masz tu zamieszkać?

Tomas myślał przez chwilę.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Nie rozmawialiśmy o tym.

– Naprawdę? – zdziwili się obaj niemal w identyczny spo-

sób. – Jedziesz na koniec świata i nie zapytałeś po co?

– Ona stąd pochodzi – szepnął wymijająco, zakłopotany za nich oboje. Pośpiesznie wkładał buty na gołe stopy. Ręce mu się trzęsły z zimna i wstydu.

Marynarze popatrzyli na siebie. Ten siedzący obok steru wyjął coś spod ławki i podał.

– Masz, przyda ci się. – Chudzielec wcisnął Tomasowi do rąk zawiniątko, odwrócił się i wskoczył do łodzi, jednocześnie odpychając ją od brzegu. – Wspominaj nas dobrze. My też będziemy.

Chłopiec uniósł rękę, a oni mu odpowiedzieli pożegnalnym skinieniem. Zaterkotał silnik i szalupa zniknęła za skalistą ostrogą, oddzielającą przystań od morza. W ten sposób Tomas został sam.

Ponieważ nie mógł wrócić na prom, nie pozostało nic innego, jak pójść za matką. Wcisnął pod pachę podarunkowy tłumok, nie patrząc, co zawiera. Zarzucił bagaż na ramię i niezdarnie ruszył pod górę. Rozwiązane buty niebezpiecznie kłapały na zamaznym błocie. Udało mu się dotrzeć do ścieżki, prowadzącej między nędzne chaty.

Z bliska domy wyglądały na jeszcze mniejsze. Nierówne dachy, malutkie drzwi i mikroskopijne okna – ciemne i jakby nieprzezroczyste. Wszystko zamknięte na głucho. Nikogo żywego dokoła. Nawet biorąc pod uwagę tych, którzy popłynęli na kutrach, tu przynajmniej powinny zostać kobiety. Raczej rzadko widywał kobiety pływające na połów czy rozładunek towarów. Trudno uwierzyć, że w osadzie mieszka jedynie kilku samotnych rybaków. Widział przecież cyfrę na znaku. Nawet te domy, nad

którymi snuł się kominowy dym, też zamknięto. Wkrótce się przekonał, dlaczego.

Kiedy wreszcie dogonił matkę, stała na skraju niewielkiego, kwadratowego placu, który nawet nie został utwardzony. Jego krawędzie wyznaczały domy trochę większe, niż te w porcie. Pomalowano je na charakterystyczny, ciemnoczerwony kolor. Miały piętro, a czasem nawet koronkowe firany w oknach.

Na placu zebrał się tłum ludzi, zostawiając sam środek wolny. Może tłum to zbyt dużo powiedziane, ale po wyludnionej części portowej grupa urosła w oczach Tomasa. Ubrani byli podobnie, w ciemne kurtki z surowej wełny. Brodate twarze, głęboko osadzone oczy. Stali nieruchomo, patrząc na Edel. Śnieg spokojnie osiadał na ramionach gapiów i nie topniał. Para oddechów otaczała kapelusze o starodawnym kroju. Początkowo Tomasz myślał, że są tu jedynie mężczyźni. Potem dostrzegł też kobiety. Stały oddzielnie, zbite w grupę, na czoło której wysunęła się jedna, w czarnej chuście na głowie. Szare niebo podkreślało panującą ciszę.

Edel zrobiła kilka kroków i zatrzymała się mniej więcej na środku placyku. Stał tam mężczyzna, którego Tomasz początkowo nie zauważył z powodu jego niewielkiego wzrostu. W takim samym kapeluszu, jaki nosili inni. Wyróżniał się jedynie obfitą, białą brodą, chociaż jego wiek trudno było odgadnąć. Matka stanęła naprzeciw mężczyźnie i jakby skurczyła się w sobie, próbując nie przewyższać go wzrostem. Wyglądało to dosyć zabawnie. Tomasz nawet się uśmiechnął. Potem wyczuł napięcie, jakie zapanowało w tłumie i uśmiech zamarł mu na ustach. Nad głowami zebranych na moment zniknęła para oddechów. Chłopak przestał czuć drę-

twiejące z zimna stopy.

Mężczyzna z białą brodą wziął szeroki zamach i z całej siły uderzył Edel w twarz. Jej głowa poleciała na prawe ramię, ona sama się zatoczyła, ale mężczyzna uderzył z drugiej strony. Tomasz patrzył, skamieniały, jak w powietrze trysnęły krople krwi i zabarwiły śnieg. Kobieta upadła na kolana, walizka przewróciła się na bok. Tomasz upuścił trzymane bagaże i ruszył biegiem. A właściwie chciał pobiec, bo natychmiast zatrzymały go czyjeś twarde ręce. Szarpnął całym ciałem, przyklęknął.

– Mamo! – krzyczał. – Co robicie!

Targnął się raz jeszcze. Spadł mu but, ale mocne, brutalne ręce nie puszczały. Wykręcił głowę i zobaczył nad sobą surowe twarze ludzi, którzy nawet na niego nie patrzyli. Bardziej ich interesowało przedstawienie na środku placu. Tomasz przestał się szarpać i leżąc w błocie patrzył razem z nimi.

Jego matka tymczasem dźwignęła się z kolan, stała nieruchomo z opuszczoną głową. Chociaż zwrócona trochę bokiem a trochę tyłem do Tomasa, widział jak krew kapłała jej po szyi i potem na przód płaszcza.

Mężczyzna z białą brodą odszedł nagle kilka kroków na bok, stanął zwrócony do Edel plecami. W tym momencie grupę kobiet opuściła ta w czarnej chuście na głowie. Podeszła i rzuciła jakiś kłęb ubrań. Na ten znak tłum zaczął się rozchodzić. Przedstawienie skończone. Rytuał został dopełniony. A jaki rytuał? Tomasz nawet nie próbował się domyślać. Twarde dłonie go puściły, a on upadł tak samo, jak tłumok ubrań. Wstał zaraz i podbiegł do Edel.

– Mamo, nic ci nie jest? Mamo...

Przerwał, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy. To była radość,

prawie uniesienie. Ignorowała Tomasa. Uśmiechała się sama do siebie. Chłopiec cofnął się, kiedy odsłoniła ubarwione krwią zęby. Żeby na nią nie patrzeć, kucnął i podniósł ubrania, jakie rzuciła obca kobieta. Były tam zapinany sweter i długa spódnica. I jeszcze prostokąt materiału w dziwnym, brudnym kolorze.

Edel wzięła ten kawałek materiału i go rozłożyła. Zgięła przez pół, a potem zarzuciła na głowę. Zawiązała ciasno pod brodą. Chusta w kolorze ziemi.

– Idziemy – powiedziała nagle i wyrwała mu z rąk resztę ubrań. Zabrała starą walizkę i ruszyła długim krokiem między domy.

Nie pozostało nic innego, jak wrócić po swoje rzeczy i pobiec za nią. Mimo że osada była niewielka, ścieżki zawracały w takich miejscach, że mógł się zgubić po zaledwie kilkudziesięciu krokach.

Skręcali jeszcze wielokrotnie i Tomasz zupełnie stracił orientację. Widział tylko szczyty fiordu, łukiem otaczające osadę od północy, i siodło między szczytami, którym płynął potok. Jak rozumiał, potok zmierzał w kierunku morza, więc te dwa kierunki miał pewne. Poza tym pewne nie było nic innego. Żadnej wieży, masztu czy chociaż budynku wysokiego na tyle, żeby wyrastał ponad resztę. Nie zauważył kościoła, nawet domy przy ryneczku już gdzieś zniknęły. Ani drzew, ani krzaków. Jedynie kamienie i zmarznięte błoto.

Zatrzymali się wreszcie na skraju osady. Dalej wyrastały już tylko skały i niskie, porastające zbocza krzewinki. Ostatnim domem w wiosce była chatka mniejsza jeszcze od innych i pozornie pozbawiona okien. Tomasz patrzył na matkę, która w chuście na

dobrze przestała być osobą, którą znał i zrozumiał, że dotarli na miejsce.

Przed sobą miał ich nowy dom.